



**KOBIETA,
KTÓRA
ŻYŁA
NAJDŁUŻEJ**

MARCIN PILIS

LIRA
WYDAWNICTWO

**KOBIETA,
KTÓRA
ŻYŁA
NAJDŁUŻEJ**

MARCIN PILIS

KOBIETA,
KTÓRA
ŻYŁA
NAJDŁUŻEJ

L i R A
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.
Wydanie pierwsze
Warszawa 2026
ISBN: 978-83-68577-87-7

Epizod 1

LA PASIEGA, 34 000 P.N.E.
AŻ PO CZASY OBECNE

Gdzie jaskinia zaczyna swój bieg. Rozciąga się w mrok, niknie, a nad nią ostra krzewina opada po zboczu Wielkiej Góry Matki. Miałam tam mężczyznę. Siadywaliśmy u samego wejścia, u wrót ciemności, patrzył na mnie długo i zagłębiał rylec w kościanym odłamku.

Skąd widać Wieżę Świętego Wawrzyńca. W rotterdam-skim domu o wysokich oknach, przy ulicy stał, piętrowy, podparty siłą ceglanych wiązań. Wzrok mężczyzny ślizgał się po mym ciele, a płótno chłonoło gęstą farbę.

W skwarze Sumeru, nad zlewiskiem rzek. Gdzie miasto rosło ludne. Miałam tam mężczyznę matki, a to tak, jakby nikt inny go nie miał.

Ale nade wszystko wśród księżycowych jezior miałam siostrę, której wyznałam moją prawdę. A ona mi uwierzyła.

W nieskończonej otchłani miałam wiele siostr, śpiewałyśmy dawne opowieści, choć żadna nie była moją siostrą. Nie jest nią. I nie będzie.

Pamiętam czułe uściski. I brutalność rąk o szorstkich dłoniach. Objęcia zamknięte w splotach palców, na plecach, na karku, wzdłuż bioder. Smak cierpki, słodki, krwawy zapach, cienkie włosy na wyziębniętej skórze. Strach. Przez wieki. Na dnie oczu.

Miałam wiele siostr. Mam wiele siostr. I matek.

Patrzę w dolinę u podnóża zamku. Namioty oblężniczych wojsk podświetlone blaskiem ognia. Patrzę po swojemu, jest we mnie spokój myśli w różnych językach, w ich strzępach, w tym, co osiadło jako pamięć.

Montségur. Rychły koniec nas czeka, gdy otworzą wrota zamku. Zebrali się w kręgu i czekają. To dla nich rozkosz płomieni i swąd naszych palonych ciał.

Lub inaczej. Patrzyłam w dolinę u podnóża.

Lub popatrzę w dolinę u podnóża.

Wszystko, co mnie czeka, już mnie spotkało.

Dziób statku rozcina fale, trójmasztowiec San Felipe kołysze się na wodach oceanu. Przeszliśmy cieśninę, a słońce opadło nad horyzont, czerwieniejąc. Stoimy we dwoje, w zapatrzeniu, w zaśluchaniu. Moja dłoń wsunięta. Ukryta pod jego ramieniem.

Woń cygara.

Słona woń oceanu.

Francuski hotel, potem dom. Mężczyzna, który ma umrzeć, oddycha płytko, regularnie. Niebawem się obudzi. Spostrzeże świt za oknem, potrze powieki.

Ja, poczęta w sobie, ta sama ja, choć zawsze nieco odmienna, ale bardziej ta sama.

Mężczyzna leży na boku. Duchy śmierci nadal omijają jego ciało. Usłuchały moich wezwań. Przyglądam mu się

z uwagą. Może dziś duchy życia nie będą go strzec. Jest gotów umierać.

Kiedy się przebudzi, popatrzę mu w oczy, będzie zmęczony na twarzy. To wydarzenie życia, tak powiedział dziś w nocy.

Cóż, nasza podróż musiała się kiedyś skończyć.

Więc żegnaj, Wojciechu.

Rozdział 1

POLSKA, NA JURZE,
POJAWIA SIĘ FIGURKA Z BAUZOLLES,
2025

Wojciech Miły urodził się w 1980 roku na Jurze, a umrzeć miał w 2025 z dala od tych stron, choć o dacie jego śmierci nikt, kto żył w grudniu roku poprzedniego, wiedzieć nie mógł. Podobnie jak nikt, kto żył w styczniu czy lutym roku jego mającej nadejść śmierci. Nikt, nawet on sam. W marcu, a potem w kwietniu tegoż roku nadal żaden człowiek nie wiedział, że rok śmierci Wojciecha Miłego, umownie rozciągnięty między styczniem a grudniem, jest rokiem tak zwanym obecnym.

Dopiero w czerwcu jedyną osobą świadomą jego nadchodzącej śmierci stała się ciemnowłosa kobieta, niewysoka, o kościach grubszych niż przeciętne, o ciele dobrze ukształtowanym, choć szczupłym.

Od najmłodszych lat Wojciech przejawiał zainteresowanie literaturą. Jako kilkulatek zaczytywał się powieściami dla młodzieży, zdarzyło mu się reprezentować szkołę na

paru konkursach z języka polskiego, a nauczyciele cenili jego zapał, podobnie jak miłą osobowość, i wysyłali na rozmaite olimpiady językowe. Nie pociągały go jednak strukturalne aspekty języka, tylko same opowieści, ich naturalny rozwój i przedstawiany tok wydarzeń. Nieświadomie, mocą czytelniczej intuicji odnajdywał w szeregu przeczytanych książek schematy łączące różne fabuły w system dających się wyodrębnić kategorii, aby te znów powiązać ze sobą, i w ten sposób stworzyć sieć zazębiających się opowieści z różnych światów, które składały się na jedną metaliteracką rzeczywistość w głowie Wojciecha. Gatunkowość nie była dla niego utrudnieniem. Powieści najróżnorodniejsze i całkiem od siebie odmienne wplatał w kategorie, między którymi snuł sieć łączących je cech, dzięki czemu klasyki fantasy nie były dla niego wcale bardzo odległe od sensacyjnych kryminałów, a przedstawione w nich światy stawały się zaledwie elementem większej całości na poziomie możliwie najbardziej ogólnym.

Poza książkami czysto fabularnymi Wojciech znajdował upodobanie w literaturze dokumentalnej i popularnonaukowej. Wciągały go tajemnice niezbadanych do końca wydarzeń i zagadki sprzed wieków. Od najmłodszych lat buszował po okazałym księgozbiornie rodziców, początkowo wpatrując się w intrygujące grzbiety, a później okładki rozmaitych pozycji, które — choć wciąż poza jego możliwościami — nie dawały o sobie zapomnieć. Przeczynał jednak, że nadejdzie dzień, w którym sięgnie po jedną z zadziwiających pozycji i zagłębi się w tajemnicach, jakie obiecuje okładka.

Nie skończył jeszcze siedmiu lat, kiedy przyglądając się jednej z półek, dostrzegł grzbiet jasnobrażowej obwoluty.

Wysunąwszy nieco książkę o wielkim formacie, ujrzał istotę ni to małpią, ni to człowieczą, na pierwszy rzut oka w każdym razie bardziej małpią. Książka nosiła tytuł *Pradzieje człowieka* i zawierała mnóstwo fascynujących ilustracji. Przesiedział nad nią długi czas, aż wreszcie matka wyjęła mu ją z rąk, twierdząc, że na tę pozycję jest zbyt młody. Później wielokrotnie powracał do książki, aby na nowo przyglądać się rysunkom, aż wreszcie, jako młodzienc po egzaminie wstępnym do liceum, pogrążył się w treści, która na zawsze miała rozbudzić jego wyobraźnię.

To tam pierwszy raz zobaczył figurkę paleolitycznej Wenus. Pośród wszystkich niezwykłych obrazów przykuła jego uwagę ze względu na dziwne uwydatnienie cech płciowych. Była to figurka ze stanowiska Dolni Věstonice — postać kobiety o szerokich biodrach i obfitych piersiach, a obok ilustracja rzeźbiarza w trakcie tworzenia.

Wojciech zafascynował się dziełami paleolitu tak mocno, że po latach postanowił zgromadzić kopie wszystkich dostępnych na świecie wytworów tego typu i o ile to możliwe, udostępnić je do oglądania.

— Ktoś zbiera znaczki, a ja figurki Wenus — powiedział kiedyś siostrze.

Z biegiem lat jego kolekcja się rozrastała. Nawiązał kontakty z naukowcami, specjalistami w dziedzinie sztuki przedhistorycznej, udało mu się nawet opublikować kilka artykułów, w których podpisywał się jako amator-samouk, choć o dość gruntownym wykształceniu historycznym. Jednak największe uznanie zyskał dzięki własnemu odkryciu, które przydarzyło mu się najzupełniej niespodziewanie. W 2002 roku, kiedy jeszcze zajmował

się hobbystycznie poszukiwaniem tkwiących pod ziemią zabytków, eksplorując jedną z jaskiń na Jurze Krakowsko-Częstochowskiej, natknął się na imponującą liczbę dziwnych kości. Okazało się, że jest ich jeszcze więcej, a spora część znajduje się pod ziemią. Największą jednak niespodzianką było odkrycie odłamków paleolitycznej ceramiki z gliny, których wiek ostrożne datowanie określiło na około dwadzieścia–dwadzieścia jeden tysięcy lat. Biorąc pod uwagę, iż to maksimum ostatniego zlodowacenia, znalezisko było niezwykle.

Wojciech otrzymał pozwolenie na asystę przy pracach odkrywkowych, co ostatecznie pozwoliło mu figurować jako nie tylko odkrywca, ale i badacz.

Z biegiem lat udało mu się uzyskać fundusze na utworzenie muzeum sztuki paleolitycznej nieopodal jaskini.

Wtedy właśnie, w połowie pierwszej dekady XXI wieku, po raz pierwszy usłyszał o figurce z Bauzolles. Początkowo okrzyknięta cudem z paleolitu, szybko została uznana za falsyfikat. Część naukowców orzekła, że pochodzi ze średniowiecza, wykonana kunsztownie, ale bez szczególnego błysku, albo jest wręcz zupełnie nowożytna, stworzona w celu wprowadzenia w błąd świata naukowego. Odkrywca, sędziwy obecnie Maurice Givon, upierał się, że znalezisko musi być o wiele starsze i pochodzić sprzed wielu tysięcy lat. Mimo to widziano w nim oszusta, który spreparował — sam lub z czyjąś pomocą — fragment mamuciego ciosa, chcąc albo zarobić, albo przynajmniej zyskać rozgłos. Gdyby figurkę uznano za autentyk, byłby to najniezwyklejszy przykład sztuki paleolitycznej, jaki kiedykolwiek udało się odnaleźć.

Wojciech oglądał eksponat na własne oczy. W odróżnieniu od większości znajdujących Wenus ta postać miała dość dobrze nakreślone rysy twarzy. Było to zaskakujące, ale i podejrzane, ponieważ w sztuce paleolitycznej z czymś podobnym spotykano się niezbyt często. Artysta przyłożył się do oddania szczegółów w stopniu przekraczającym wszelkie naukowe wyobrażenia.

— Proszę państwa, w paleolicie nie wytwarzano takich okazów sztuki. Owszem, zauważamy różnorodność wytworów, kiedy porównujemy znaleziska oryniackie czy graweckie, sztukę późniejszą, na przykład solutrejską czy z czasów kultury magdaleńskiej, no ale bez przesady. Choć pamiętajmy też, że w sztuce paleolitu nie ma czysto liniowego rozwoju, co widać zwłaszcza po odkryciu jaskini Chauveta. Dzieła znacznie starsze nieraz są bardziej wysublimowane od późniejszych, datowanych jako młodsze, i cechuje je wyższy kunszt artystyczny. Liniowy rozwój sztuki czy technologii w paleolicie to mit. W mojej opinii jest to falsyfikat, choć przyznam, że uczyniony ze zjawstwem. Kość z pewnością jest autentyczna, natomiast cała reszta to próba przekonania nas wszystkich, że artyści paleolityczni wytwarzali eksponaty będące niemal zupełnym i prawdopodobnie bardzo wiernym odwzorowaniem konkretnej postaci. Proszę na dodatek zauważyć, w jak znakomitym stanie jest figurka, jakby nie tyle przeleżała w ziemi dziesiątki tysięcy lat, ale znajdowała się w czyichś rękach, odpowiednio zabezpieczona przed zniszczeniem. Dysponujemy znaleziskami z przedstawieniem cech indywidualnych, jak na przykład słynna Wenus XV, ale to raczej wyjątki, a na pewno nie o takim

stopniu zaawansowania i dbałości o szczegóły — powiedział w wywiadzie dla regionalnej prasy powszechnie szanowany dr Claude Limone.

Figurkę jako eksponat o podejrzanym rodowodzie ulokowano w odległej części muzeum we francuskim Gotovaux. Nie budziła większego zainteresowania, od czasu do czasu badał ją jakiś naukowiec. Każdy zainteresowany dziejami paleoantropologii pamiętał aferę ze słynną czaszką z Piltdown, uznawaną przez kilka dekad za autentyk.

Figurka z Bauzolles tkwiła w prowincjonalnym francuskim muzeum i nikt się specjalnie nią nie interesował — aż do dnia, w którym znikła. Ale nawet wtedy prasa nie przejęła się zbytnio, wszczęto postępowanie z urzędu, a pobieżne śledztwo wykazało, że tropy prowadzą do Polski. Zdaniem muzealników z Gotovaux polskie służby zrobiły, co było można, i należało pogodzić się z utratą dzieła.

Przez lata pamięć o figurce stopniowo zanikała, aż któregoś dnia Wojciech wyszedł przed szkołę po skończonych zajęciach. Było ciepło, słoneczne popołudnie. Nad Żarkami unosiło się kilka jasnych obłoków. Zapalił upragnionego papierosa, na którego pozwalał sobie dwa razy dziennie. Miał dziś ważne spotkanie w myszkowskim Sądzie Rejonowym i musiał zebrać myśli.

„Rozwody to przekleństwo małżeństw” — pomyślał i wtedy usłyszał, że ktoś podchodzi do niego od tyłu.

— Przepraszam, czy pan Wojciech Miły?

Stał przed nim niewysoki mężczyzna, około czterdziestoletni, ubrany przeciętnie, z czapką z daszkiem na głowie.

— Dzień dobry, tak, to ja — odparł zapytany, wydmuchując nosem dym papierosowy.

— Pan się podobno zajmuje, no... takimi różnymi małymi rzeźbami, figurkami, tak?

— No, powiedzmy, w jakimś sensie tak.

— To może to pana zainteresuje — odparł mężczyzna i wyjął z kieszeni zdjęcie.

Wojciech pochylił głowę i przyjrzał się uważnie. Na fotografii zobaczył zaginioną figurkę, najwyraźniej nie-naruszoną.

— Figurka z Bauzolles — wymknęło mu się półgłosem.

— Aha, na pewno stamtąd — odparł szybko mężczyzna.

— Skąd pan to ma? — zapytał Wojciech niezadowolony ze swojej natychmiastowej reakcji.

— A skąd mam, to mam. Pytanie, ile pan dasz.

Epizod 2

LA PASIEGA, 34 000 P.N.E.,
GÓRNY PALEOLIT I WIELE
PÓŹNIEJSZYCH TYSIĄCLECI,
JAK RÓWNIEŻ WSPÓŁCZESNOŚĆ

La Pasiega, tak teraz nazywają naszą jaskinię. La Pasiega. Mroczna droga przez ciało Wielkiej Góry Matki wyrastającej ku niebu niczym ostry grot. Pieśni całej gromady trwają tam w mowie bez dźwięku, kłębią się w języku ścian i tylko wieczny duch góry je słyszy i duchy tych, co pozostali za nami.

La Pasiega, tak. Piękna okolica. Dziś leży w słonecznej Hiszpanii, ale wtedy był to zaledwie cieplejszy zakątek w krainach odwiecznego zimna. Inny czas, inne, wymarłe języki i inni ludzie. Ze świata, który nigdy się nie powtórzy.

Dobrze znam hiszpański, ale nie potrafię go używać, noszę w sobie tylko brzmienie i rozumienie słów. Dziś mówię głównie po polsku, nauczyłam się angielskiego i francuskiego na studiach, choć od dawna znam te języki

znakomicie. W staroangielskim przegadałam dawno temu całe życie, wczesny frankoński też jest mi znany.

Moja ostatnia matka świetnie posługiwała się czeskim, a ja urodziłam się w Polsce, więc ten język dziś uważam za swój, nawet go lubię. Kilka z moich matek znało polski w jego wczesnej fazie — ten znam i ja, lecz nie umiem w nim mówić.

La Pasiega, tak, ładnie to brzmi.

Przed jaskinią siadywaliśmy we dwoje, noce były nieco cieplejsze w tamtej okolicy. Co kilka księżyców nasza gromada wracała z długiej wędrówki. Rozkładaliśmy pod zboczem góry — dziś powiedziano by — szałas, ale my nazywaliśmy je *koa*.

Jaskinia La Pasiega to była nasza *bahu*, jedna z tych, jakie znaleźliśmy w ciągu wielu dni drogi. Dla mnie najważniejsza z jaskiń.

Tak wtedy, jak i później.

Zostały mi skrawki zapamiętanych chwil. Najwięcej ich widzę w moich pierwszych gromadach. Wtedy wyszłam z ciemności, sprzed czasu. Nauczyłam się nieba, poznałam Księżyc, *Lanu*, naszą matkę, pojęłam powracającą zmienność jej kształtu i ciepło światła padającego na ramiona. Aby nas chronić przed złem nocy. Księżyc był najważniejszy i z każdym nawrotem jego wielkiego kręgu staraliśmy się wrócić do *bahu* w głębi góry, jak duchy naszych przodków w odwiecznym kołowrocie. Lecz nie zawsze udawało się nam zdążyć, a bywało i tak, że spotykaliśmy pod zboczem inną grupę, więc budowaliśmy obozowisko nieopodal. Wtedy bliżej nam było do jaskini, którą dziś nazywacie El Castillo. Ale ja zawsze wolałam dziękować duchom w La Pasiedze.

Tam poznałam tego mężczyznę. Pod zboczem Wielkiej Góry Matki byłam z nim, tuż za środkowym wejściem, i chociaż się bałam, bo przecież wkraczaliśmy w mrok *bahu*, jednak on mnie pociągnął za sobą.

Wciąż widzę go u samego wejścia z rylcem w dłoni. Błyskają zagłębione brązowe oczy pod krzaczastymi brwiami, ich łagodne spojrzenie ogarnia mnie całą na jasnym kamieniu, a później mocny wzrok ślizga się po mojej twarzy i szyi, zatrzymuje się na ustach, żeby dobrze pojąć ich kształt i przenieść na powierzchnię kościanego odłamka. Zabronione mi jest poruszać się lub uśmiechać.

Nie spotkałam dotąd człowieka, który czyniłby coś podobnego, więc ogarnia mnie lęk na myśl o tym, jaką postać przybierze kość w jego dłoniach, ale on mnie uspokaja.

Długo wcześniej, w odległej części ciepłego lasu, narodziłam się po raz pierwszy, wśród ludu innej gromady, a potem rodziłam się drugi raz i trzeci. Do dziś nie rozumiem, dlaczego rodząc siebie samą, umrę niedługo, narodzę się, a potem znów umrę, znów się narodzę po to, aby ponownie umrzeć i narodzić się w przeklętym nieskończonym cyklu.

Czas wciąż się obraca po swoim wielkim kręgu i powtarzają się moja udręka i ekstaza, cierpienie, rozkosz, a tak niewiele trzeba, by przerwać niezliczoną powtarzalność odrodzeń — wystarczy jeden ostateczny krok.

A jednak kolejne ciała mojego nawrotu dążą ku trwaniu niczym bezrozumne kształty materii, które prowadzi naprzód pierwotna wola.

To dla mnie wyrok śmierci, ale i wyrok życia.

Jestem spokojna, nauczyłam się tego przez te wszystkie wieki.

Duchy są ze mną. Moje ciała są ze mną. Ja i moje ciała to jedno.

Wiele razy o tym myślałam i sądzę, że musiało się to wydarzyć gdzieś między trzydziestym piątym a trzydziestym tysiącleciem przed naszą erą, jak to się obecnie określa. Wtedy rozpoczął się mój cykl i trwa do dziś.

Początkowo nie zastanawiałam się nad moją przypadłością. Sądziłam, że każdy tak czuje, widzi i pamięta życie swej matki, nosi w sobie zapamiętane przeżycia, a później rodzi się córka, która też to pamięta, i kolejna córka kolejnej matki, i następna, i tak raz za razem. Przez pewien czas było to dla mnie coś naturalnego, aż któregoś dnia zrozumiałam w pełni, że nikt w ten sposób nie zapamiętuje.

Tylko ja.

W La Pasiedze miałam mężczyznę, kochałam go, o ile kochać wtedy znaczyło to samo, co kochać dziś, to chyba niewłaściwe słowo. Pamiętam jego imię, nie umiem jednak poprawnie go wymówić, więc z imienia wychodzi inne słowo. Najbliżej mu chyba do miana: Geri. Tak, chyba tak.

Geri z rylcem w dłoni za chwilę skończy tworzyć niezwykłą figurkę z kości *mubanu* u podnóża góry, której duch otula nas głosem jaskini, głosem *bahu*, gdzie gromadzimy się w ciszy. Niekiedy lękamy się mrocznej otchłani, ale tacy myśliwi jak Geri dodają nam odwagi i kreślą w powietrzu znaki Księżyca, *Lanu*, naszej matki. Aż w końcu *bahu* pozwala wejść niektórym z nas. Głos jaskini wzywa wybranych i choć my tego nie rozumiemy, Geri ma pewność, kto może wstąpić w ciało góry, aby wsłuchiwać się w śpiew jej ścian. Geri ma jeszcze drugie imię, Swobody Wiatr, ale ja wolę używać pierwszego.

Widziałam tyle śmierci, ile żaden człowiek.
A umierałam tak, jakbym umierała za każdego z osobna.
Tyle lat, wieków w mojej głowie, za małej na to wszystko.
Przekroczyłam dawno granicę, za którą życie blednie,
już się poddałam.

Lecz to nic, nadal nie ma śmiertelnego wybawienia,
a ciało zmusza mnie do trwania.

Sekretna wola życia nim władą.

Tajemna, mam wrażenie, jakby wyprzedzała wszelkie
moje postanowienia.

Więc jestem.

Zbyt wiele tu postaci i zdarzeń.

Tylko nieliczni przetrwali we mnie, duchy większości
odleciały, nie wiem dokąd.

Geri. Rogier. Kastu-ihanna. Sir John. Kohelet. Geri.
Geri. I ta niezwykła Eleonora van der Hoyle. I wielu, wie-
lu innych.

Lecz to tylko epizody, krótkie przebłyśki w mojej pa-
mięci.

Szeregi niepowiązanych impresji.

Nasze mieszkanie w Rotterdamie, gdzie zawsze brako-
wało miejsca na obrazy. Malował mnie taką, jaka byłam,
jaka jestem, jaką będę. Dla takich obrazów mężczyźni go-
towi byliby na wiele poświęceń. Ale on malował dla mnie.
Rogier. Rogier van Debreylen. Któż go nie znał! W tamte
dni na krańcu ulicy od południowej strony Delft, zaraz
przy rzece. W moim przekonaniu największy malarz,
największy z Holendrów. Kiedyś z de Hoochem wspólnie
malowali jeden obraz. Nie był dobry. Tak niedawno się
rozstaliśmy, miał w sobie wiele z Geriego, zawsze zresztą

szukałam go w innych. Rogier miał te same oczy, kształt twarzy, prawie całkiem jak on, jak ten wspaniały łowca, który rozmawiał z duchami góry w jaskini La Pasiega, w ciele Wielkiej Góry Matki.

Rogier załamał się, kiedy umarłam, obserwowałam jego boleść i tak bardzo było mi go żal. Był wszak moim ojcem.

Tak, tylko nielicznych pamiętam lepiej, z innych pozostało imię bądź niewyraźne obrazy, ale większość postaci przepadła w mrokach niepamięci, jakby nigdy nie istniały. Ostatecznie wszyscy są do siebie podobni. Czasem czuję, jakby i mnie nie było, mimo że istnieję bardziej niż ktokolwiek inny. Może to ten długi, nieskończony czas sprawia, ta potworność jego natury i niekończąca się liczba pokoleń w nim zawartych — jakbym żyła w czymś, co nazywamy baśnią albo właśnie przeżywała wszystko niczym we śnie.

Dawniej było inaczej.

Sny w naszej grupie były jak życie, opowiadaliśmy je sobie w dymie ogniska, a myśliwi tacy jak Geri układali je w trzewiach góry, która bije wysoko w niebo jak ostro zakończony grot wielkiej włóczni.

Wciąż w to wierzę, w realność tego, co w jaskini, głęboko za płaszczyzną ściany, gdzie odchodzą nasi wszyscy zmarli.

A ja ciągle trwam. Przeżyłam więcej niż ktokolwiek, lecz nigdy nie zaznałam starości, dlatego starzy ludzie budzą we mnie czułość. Kiedy na nich spoglądam, obserwuję ich utrudzenie, ruchy powolne, ostrożne, badające każdą nadchodzącą sekundę, jakby w obawie przed najbliższą możliwą przyszłością, odzywa się we mnie tęsknota za tym, czego nigdy nie doświadczyłam. Proste, zgodne z naturą zdążanie ku śmierci, jednakie dla każdego, zarówno dla

tych, którzy czekają ze spokojem, jak i dla tych, którzy próbują odsuwać ten moment najdalej, jak tylko można.

Ale ciąży nade mną przekleństwo ciała. Przekleństwo moich ciał, młodych zawsze i obarczonych wczesnym końcem. Ich powielanie się, odradzanie, mnożenie nieskończone — z matki w córkę, z córki w matkę i znów, niczym w okrutnej cielesnej procesji. To mnie chroni, mój umysł, przed zupełnym szaleństwem. Inaczej nie do zniesienia byłyby kolejne dni.

Dziś wiem, że nie da się niczego pojąć, a największą przeszkodą jest to, co nazywa się językiem, to, co nazywa się słowami, to, co nazywa się myśleniem, które i tak przeistacza się w język. Kiedy życie trwa lat osiemdziesiąt czy sto, słowa wystarczają, nie sięga się po więcej, jakby język człowieka przystosowany był do krótkiego wglądu.

Kiedy istnienie trwa dłużej, naprawdę długo, język słabnie i nie ma w nim żadnego oparcia, aż wreszcie zdaje się oddalać od obrazów, jakby nie miał z nimi wiele wspólnego.

Nie od razu to zauważyłam.

Nie od razu widziałam tyle, ile widzę teraz.

Tak.

Przeczytałam wiele dzieł w wielu językach, powracałam do lektur wielokrotnie, widziałam rękopisy, o których dziś krążą legendy, znałam oryginalne zwoje Parmenidesa i Demokryta, którego ceniłam ponad innych, trzymałam w rękach głębokie pisma filozofów zapomnianych, o których nikt dziś nie słyszał, nawet Diogenes Laertios pomija ich milczeniem, czytałam święte księgi w najwierniejszych kopiach i słuchałam świętych mężów o mądrości jak ocean,

zanim powstały pierwsze ludzkie zapisy, widziałam ulice Konstantynopola sprzed tragedii 1204 roku, a później przetrwałam czarną śmierć gdzieś u podnóża Alp, rzeźbiłam ornamenty w miejscu, które dziś nazywacie Göbekli Tepe, wieczorami patrząc na taniec świętych mężów, którzy wznosili się ku bogom, i taniec świętych kobiet, które wznosiły się ku boginiom, spędziłam tysiące godzin, wpatrując się w Księżyc, *Lanu*, naszą matkę, i do dziś nie potrafię nie patrzeć w jasną tarczę, ilekroć wyłania się zza pociemniałych chmur, rozmawiałam o gwiazdach, księżycowych dzieciach, radosnych wędrowcach snujących się między konstelacjami, bo niebo zawsze było dla nas odbiciem życia, więc patrzyliśmy w niebo, w jego tajemniczą ciemność, jakby ono było wielką *bahu*, największą, w jakiej sami się znaleźliśmy, jak przekonywała Kastu-ihanna, a potem wielu jej podobnych, i syn Kastu-ihanny, i jego syn także, i wielu po nich, i jeszcze wielu, którzy nadeszli.

A mimo to niewiele mam do powiedzenia ponad to, co mówię.

Widzę dużo i mało. Miewam przebłyski zdarzeń, czasem dłuższe, czasem ledwie dostrzegalne, mieszają się ze sobą, nie potrafię ustalić kolejności ich występowania, brak mi chronologii czasowej, jakiegoś narzędzia, dzięki któremu mogłabym uszeregować to, co pamiętam.

A pamiętam niezbyt dużo.

Mój umysł nie jest gotowy na gromadzenie wielkiej ilości doznań. Niemal wszystko zapominam, nie pamiętam nawet moich dawnych matek. Mam w sobie tylko jedną świadomość, której każda z nich doświadczała przede mną, mam ich przeżycia, ale to, co udaje mi się pamiętać, to, co

nam wszystkim udaje się pamiętać, to ledwie mikroskopijny wycinek z otchłani.

Wiem, że rodzę córkę, a jej umysł okazuje się moim umysłem i wszystko, co przeżyłam, co udało mi się zachować w pamięci, wlewa się w jej świadomość, która budzi się nieoczekiwanie, nie od razu, lecz po paru latach lub nawet dopiero parunastu.

Dlatego moje córki w pierwszym okresie wydają się opóźnione w rozwoju, aż wreszcie świadomość otwiera się w nich, a tą świadomością jestem właśnie ja, przelewana przez tysiąclecia z jednego umysłu w drugi. Nie wiem, nie mam najmniejszego pojęcia, skąd to się bierze i dlaczego jestem, jaka jestem.

Najczęściej widzę czas naszej grupy przy *bahu*, zwanej dziś La Pasiega, lub przy tej drugiej — El Castillo. Często też pojawia się w moich wspomnieniach Sumer, spędziłam tam wiele żyć, zapamiętałam kilka znaczących postaci, próżno szukać o nich wzmianek w najstarszych źródłach. Lubię też wracać w pamięci do Koheleta, czyli Eklezjastesa, jak go z grecka nazywacie, autora biblijnej księgi, ale on miał przecież swoje piękne imię, łagodne w brzmieniu, tak jak on sam był łagodny. Z zapartym tchem wczytuję się w jego księgę, która przetrwała, choć oryginał był nieco inny, długo nad nim przesiadywaliśmy. On rozumiał ulotność świata, och, jak dobrze to pojmował mój Kohelet, marność nad marnościami, jak to potem niedokładnie przełożyli, o której mu opowiadałam, ulotność przeżyta i nieustannie przeżywaną w ciągu wieków mojego przekłętogo nawrotu. Nic nowego pod słońcem, mój drogi mężczyzno, a Księżyc, *Lanu*, nasza matka, zawsze karmi nas tym

samym mlekiem, mówiłam mu na ucho. Ale on nie chciał słuchać o Księżycu, wizja Słońca nad całym istnieniem głębiej do niego przemawiała. Jego twarz uśmiechnięta, kiedy leżymy wieczorem pod baldachimem, ciepło nocy, zapach trawy i odgłos cykad z oddali, a jego kojący głos uspokaja mnie, obdarza czystą rozkoszą, jeszcze nie wiemy, co ma nadejść niebawem. Ja już wiem, że czeka mnie poród, ale on nie wie, lecz kiedyś może się dowie, co to naprawdę znaczy, mój piękny, mądry mąż z Seforis.

Widzę w pamięci słońce Egiptu z czasów Amenhotepa IV, akurat tę krótką część egipskich dziejów znacie nieco lepiej, więc o tym napomykam, ale w istocie — cóż znaczy ta wiedza. Lecz po chwili wspomnienie wędrówek uliczkami starożytnych Teb, od Ipet-Sut, wielkiej świątyni, aż na drugi brzeg Nilu, ku Miastu Umarłych — wszystko to przysłania nagle wysoki, gęsty las, starszy o dziesiątki tysięcy lat, gdzieś z okolic gór, które dziś nazywają się Pirenejami, a moja siostra o imieniu Uahkate, czyli coś jak Mocne Drzewo, idzie pierwsza i nasłuchuje, słyszy najlepiej z nas wszystkich, obok niej postawny myśliwy w grubej skórze niedźwiedzia, nie pamiętam jego imienia, pochylony, z napiętymi mięśniami, a reszta za nimi, uważne spojrzenia badają nieprzebrane zarośla między pniami *kirikari*, drzewa soczystego, kroczymy w ciszy, bo gdzieś w pobliżu pasie się stado reniferów; idziemy z wyciągniętymi włóczniami, mocne i ostre groty krzemienne jeżą się na ich końcach i nie pamiętam już, kto wtedy zginął, wspomnienie zatraciło się w głowie, ale tak było, wiem to na pewno, że połała się krew naszej gromady, niech nasza matka przyjmie ją w swym ciele; wiem tylko, że

Uahkate wróciła z tego polowania, spędziłyśmy wspólnie wiele czasu w jednym *koa*, wiele dni i chłodnych oddechów Słońca, *Rahu*, naszego ojca, aż tu nagle pamięć znów mnie odmienia i jestem w innej *bahu*, chyba później o tysiące lat, nie wiem kiedy, lód już się cofnął względem tego, co było znacznie wcześniej, otworzył przestrzenie, więc ta *bahu* nie taka jak w La Pasiedze, ma jedno wejście i prowadzi głęboko w dół, jest jakaś ciężka, brzuchata, teraz mówimy na nią *muna kana*, czyli dom przodków, tak byśmy dziś powiedzieli, to znaczy współcześnie; siedzimy w okręgu, oczy łzawią mi od dymu i wspominam głos Geriego, który wyłania się z otchłani czasu, ogarnia mnie największy możliwy smutek i przerażenie, boję się wspomnień ze światów nieznanymi innym ludziom, ognie się dopalają, matka ciągnie mnie za rękę, w jej oczach widzę strach i sama też go czuję, lecz idę za nią posłusznie, aż nagle nieoczekiwanie otwieram oczy pośrodku tłumu w Nevali Çori — tak się na to miejsce mówi obecnie, jedna z ciekawszych osad neolitu, ale wówczas nazywała się Marakata. To wielkie święto wody, na ołtarzu utoną poświęcone zwierzęta, gromadzimy się więc, wszyscy chcą widzieć śmierć ofiarną, tłum pulsuje, upał zalewa nas z wielką mocą, w powietrzu uporczywy klekot dzwonek, głosy mądrych mówców wzywają do wspólnego tańca, słyszę pierwszy odgłos bębna i wysoce śpiew kobiet w przebraniu wodnych bogiń, wychylają swe ciała na lewo i prawo i oto w innym wspomnieniu rozglądam się po ogromnej białej równinie, jest nas może piętnaścioro, ciągniemy sanie, bo nasze psy pozdychały lub ktoś je potruł, tak, coś takiego kołacze mi się w głowie, potrute psy; nie pamiętam już celu tej wędrówki ani tego,

czy to było wcześniej, czy później, nie wiem wcale kiedy, może dziesięć, a może czternaście tysięcy lat temu, nie wiem, ale ta wędrówka jest długa, trwa wiele dni, to musiał być koniec naszego plemienia, uciekaliśmy, ale jak to się skończyło, tego nie pamiętam. Tak jak nie pamiętam ich imion ani twarzy, niczego ostro nie widzę.

Wspomnienia przenikają się i zlewają.

Ale nade wszystko przenika je wieczna i niekończąca się nędza. Dokądkolwiek się udałam, nędza rozpościerała się, rozlewała wszędzie, w niemal wszystkich ludzkich siedzi-
bach, a wraz z nią niekończące się cierpienie i zło o tym samym, odtwarzanym w nieskończoność, identycznym obliczu, choć zdawałoby się, że tak różnorodnie się prezentującym na ludzkich twarzach.

Wiele razy spisywałam siebie, w kilkunastu językach zapisywałam wspomnienia, szukałam chronologii, starałam się ustalić czas, ale żadna z tych prób już nie istnieje. Większość spłonęła w pożarze, inne zgniły źle zabezpieczone. Wszystko przepadło. Kiedy staram się odtwarzać przeszłość, zostają jakieś przebłyski doznań. Nic, nic nie może przetrwać.

© Copyright by Lira Publishing Sp. z o.o., Warszawa 2026

© Copyright by Marcin Pilis, 2026

Redaktor inicjujący: Paweł Pokora

Redakcja: Ewa Popielarz

Korekta: Renata Kufirska-Biegajło

Skład i redakcja techniczna: Igor Nowaczyk

Projekt okładki: Magdalena Wójcik-Zienkiewicz

Zdjęcia na okładce i źródła ilustracji:

© lufimorgan, © morphart/123RF

Zdjęcie autora: © Maciej Zienkiewicz Photography

Retusz zdjęcia okładkowego: Katarzyna Stachacz

Producenci wydawniczy:

Sylwia Reguła, Magdalena Wójcik-Zienkiewicz, Wojciech Jannasz





Wydawca: Marek Jannasz

L  R A
W Y D A W N I C T W O

Lira Publishing Sp. z o.o.

al. J.Ch. Szucha 11 lok. 30, 00-580 Warszawa

www.wydawnictwolira.pl

Wydawnictwa Lira szukaj też na:    

Druk: Abedik SA

Laura nie jest zwykłą kobietą. Kiedy los łączy ją z Wojciechem, miłośnikiem paleoantropologii, ten jeszcze nie wie, z jak wyjątkową historią przyjdzie mu się zmierzyć...

„Kobieta, która żyła najdłużej” Marcina Pilisa to fabularna podróż przez wieki. Tajemnicza paleolityczna figurka odnaleziona w jaskini francuskiego miasteczka Bauzolles trafia do rąk pasjonata sztuki przedhistorycznej. Jednak to nie sensacyjna intryga wydaje się najistotniejszym motywem książki, lecz dzieje kobiety uwiecznionej przez paleolitycznego artystę. Kobiety, która nigdy nie zaznała starości, bo jej umysł od tysięcy lat doświadcza świata. Jest silną bohaterką uosabiającą kobiecy los na przestrzeni wieków, stając się ofiarą mrocznych sił natury i zwykłej ludzkiej zawiści. Trwa na pograniczu życia i śmierci, zmuszona wystrzegać się dzikich zwierząt, wrogich plemion bądź męskich agresorów – identycznych od zarania dziejów aż po nowożytność.



FOT. MACIEJ ZIENKIEWICZ

MARCIN PILIS

– pisze powieści i opowiadania. Jego proza łączy elementy powieści obyczajowej i psychologicznego thrillera, a bohaterowie często znajdują się w sytuacjach granicznych i są zmuszeni do podejmowania trudnych wyborów. Autor m.in.: „Zemsty kobiet”, „Łąki umarłych”, „Mnogości rzeczy” i „Relikwii”. Za „Ciszę w Pogranaczu” został uhonorowany Nagrodą Literacką im. Józefa Mackiewicza.

www.wydawnictwolira.pl

Patronat
medialny:



L i R A
WYDAWNICTWO

ISBN: 978-83-68577-87-7



cena: 72,99 zł
(w tym 5% VAT)